

Rozdział 1. URZEKŁA NAS TWOJA (...) HISTORIA

Salvador Messien wieczorkiem stał na zatłoczonej ulicy, pod murem kamieniczki, którą chodzili tylko zbawiciele ludzkości.

Rozejrzał się wokół i wyjął spod kurtki farbę w sprayu. Potrząsnął nią i zaczął pisać starannie transparent na murze. Kończąc usłyszał szelest i obejrzał się odruchowo. Dwóch rosłych gości, jeden punk a drugi skin, napało na niego. Spray wypadł na chodnik, w zrywie nagłej ucieczki. Szybcy i silni, współpracowali w ten sposób pewnie wiele razy. Jeden trzymał od tyłu pod ramiona, drugi walił pięściami w brzuch. Tracąc przytomność wraz z wydychanym powietrzem, osunął się na chodnik. By poczuć metalowe kopniaki glanów, niepohamowanych, jak seria z karabinu, rozrywające ciało z najwyższą brutalności furją. Krzyk tłumiony był w gardle, z którego wydobywał się jedynie skrzekliwy jęk bólu, potu, krwi i nadciągających konwulsji. Punk podniósł spray i podszedł do muru. Zamalował graffiti skopanego, i napisał coś po swojemu, po czym cisnął puszką za siebie. Messien leżał dalej, płacząc z bólu, i czekając aż ucichną w pustce wiatr. Ręce uginały się, nie mogąc utrzymać ciężaru jego ciała. Dyszał ciężko i znów opadł półprzytomny.

Kiedy wstał spoglądając na napis, postanowił odwrócić się i oprzeć, stojąc jak stał wcześniej. Za nim na murze na zapisanym nieznanym wcześniej hasle, czerwonym sprayem napisane było niedbale „Punx not dead!” Patrzył nieprzerwanie przed siebie, ale tak naprawdę, nie wpatrywał się w coś szczególnie konkretnego.

Miał on osiemnaście lat, długie włosy i beret. Na sobie czarne jeansy, obdarte i brudne, czarno - czerwony sweter w grube pasy, a na szyi chustę ze wzorem zebry. Na dłoniach fioletowe rękawiczki bez końcówek palców.

Stał z jedną nogą opartą o mur. W rękę nieruchomo trzymał kij baseballowy, ozdobiony naklejkami, nacięciami i gwoździami, którego nie udało mu się pochwycić wcześniej. Uśmiechał się nienaturalnie szeroko. Zdawać się może, że od ucha do ucha. Czarna szminka zaznacza wyraźnie kąciki jego ust. To szminka, prawda?

Z jego lewej strony wybiegło pięciu z gangu Pierrotów. Wszyscy byli ubrani identycznie jak on. Krzyczeli i skakali mijając go. Messien stał tak niewzruszony, nawet nie mrugając. Pierroci przystanęli na jego widok. Podszeptując, zaczęli go okrążać. Będąc coraz bliżej. Stanęli tuż przed nim, a ludzie wokół zaczęli się rozchodzić. Każdy gatunek potrafi przewidzieć swoją śmierć. Zerwał się wiatr potrząsając mrugającą latarnią. Latarnia zgasła.

Każdy z nich miał przy sobie jakiś gadżet. Jeden pałkę, inny łańcuch, trzeci brzytwę itd. W końcu jeden z nich coś powiedział. I nie był to Messien.

- Hej kum - kej kum. Chyba nie należysz do naszej społeczności dupku?

Pierrot na próżno czekał na odpowiedź.

- Mówię coś do ciebie, ty niewychowany ćwoku?

- Chcesz nas sprowokować? To ci się udaje! – Wtrącił drugi

- Dlaczego nosisz nasze stroje?

- Ja chyba wiem, kto to jest!

- Kto?

- To ten brudas, który zepsuł naszą siostrę. Ten krzywy grymas poznam wszędzie.

- No to masz przemodelowane, koleś. Dobrze, że akurat tędy przechodziliśmy.

- Ta jest. Mamy fart.

Cisza. Nikt nie wiedział, na co Messien czeka. Wydawało się, że w ogóle ich nie słyszy i nie widzi. Dopiero po dłuższej chwili, odważył się zrobić pierwszy ruch. Prostuje kij w dłoń, poruszając tylko nadgarstkiem. Miał on taką wyjątkową zdolność, że całe jego ciało mogło wykonywać niezwykle, nienaturalne ruchy. Jego twarz nadal pozostała niewzruszona. Przez chwilę trzyma go w taki sposób by lekko i znienacka uderza najbliższ stojącego. Trafił Pierrota w brodę. Uderzył z taką siłą, że głowa mu odskoczyła do tyłu i upadł na ziemię. Zaczął krzyczeć, nie z bólu, ale jakby zobaczył najbardziej przerażającą rzecz na świecie, przez którą wie, że zginie. Najdziwniejsze było to, że Pierrot, patrzył się w niebo, a nie na Messiena. I tak miało już zostać.

We wszystkich zebrała nienawiść. Messien wykonał kolejny ruch. Zaczął chichotać. Jego usta dalej wyglądały tak samo. Ruchy głowy były minimalne i mechaniczne zarazem. Jego chichot zamienił się w pełen paranoi i hysterii śmiech. Po kilku sekundach zamilkł.

– To ty napisałeś to gówno na murze farbą?

Pierrot w rękawicach bokserskich podszedł i wałną Messiena w brzuch. Ten nawet tego nie poczuł, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać. Jednak jedna rzecz się zmieniła. Grymas twarzy. O ile przedtem wyglądał jak manekin, błazen, teraz jego usta przechyliły się z całą długością w dół, powodując efekt “złego goblina”. Messien zrobił mały krok do przodu. Kolejny Pierrot zaczął wywijać łańcuchem, a on zaczął ponownie chichotać i podskakiwać w miejscu, jak małe dziecko.

– Nie, ja napisałem Hitler Kaputt!

Kiedy tamci zachłysłeni się śmiechem. W nieoczekiwanym momencie wyskoczył wysoko, uniósł kij ponad głowę i uderzył kolejnego z taką siłą, a z kija posypały się drzazgi. Na głowie Pierrota pojawia się głębokie wgniecenie, a z ranek po gwoździach, zaczęła wypływać posoka. Nie tracąc czasu wałną kolejnego, końcówką w brzuch. Miotając się cały czas, skacząc i chichotając nie przerwanie, w pełnym chaosie, agresji i absurdu pokazie. Pierrot z łańcuchem próbował owinąć go w locie wokół kija, ale ostatecznie kij znalazł się w jego przetyku. Pozostałych dwóch uciekło.

Messien okrążył leżących. Jego uśmiech groteskowo ukazywał przejaw zła. Nienawidził tego. Nienawidzi z całego serca, gdy go zaczepiają nieznajomi na ulicy, mający do niego jakiś problem. Tacy czują się zbyt pewni siebie. Myślą, że im nikt nie podskoczy. Myślą, że ujdzie im to płazem, że człowieka nastraszą, bo jest ich więcej, ale nie. Tu nie chodzi o to, czy ktoś jest niski czy duży, gruby czy chudy. Chodzi o pokłady nerwów w kotłujące się w głowie. Chodzi o stres, i o jego wyładowaniu w formie agresji. Czasami te rzeczy decydują o tym, że można pod wpływem adrenaliny nie tylko pobić dwa razy większego od siebie. Ale także go zabić.

Messien kopnął jednego w bok. Żadnej reakcji. W tym przypadku, zabił w afekcie, aż trzech. Chciał już odejść, ale w jego oczach zabłysła leżąca na chodniku brzytwa. Podniósł ją i studiował przez chwilę. Poczuł, że wpadł na genialny pomysł...

- La roi est mort. Viva la mort! – Krzyknął donośnie i pobiegl w dal.

Później. Teraz. Salvador Messien stoi przy murze obok śmietnika. Wokół niego jest ciemno. Nikt, kto by się nie wpatrywał, nie dałby rady go dostrzec. Salvador najpierw bada teren, dopiero później odpala papierosa. Był przecież nieletni. Miał siedemnaście lat. Nie chciał, by przez przypadek ktoś go podkablował, przyjechałyby wtedy policja i zwinęliby go prosto do rodziców. A tego nie chciał. Nie chciał, by się dowiedzieli, że pali, bo jego starzy to takie prukwy, które jak się dowiadują, że robisz coś nielegalnego, albo wbrew ich woli, to możesz mieć nawet czterdziestkę na karku i mieć areszt domowy. Nikt nie rozumie, że papierosy koncentrują myśli i wywołują uczucie spokoju, bo Messien musi mieć spokój do pisania poezji, bo Messien jest poetą, i w domu jej nie zazna. Oczywiście, Messien tłumaczył sobie to, że jak skończy upragnioną osiemnastkę to wszystko się zmieni. Wyprowadzi się na mieszkanko swojej babki, niezależnie od tego, czy będzie żyła czy nie. Wierzył, że gdy skończy osiemnaście lat, wszystko już nic nie będzie takie same. Zmieni się układ planet na niebie, ktoś wyremontuje chodniki, w supermarketach ludzie dostaną podwyżki, no i skończy się w końcu “moda na sukces”.

Messien gasi zapalną. Rozgląda się czy aby nikogo nie ma, i dopiero wtedy wydmuchuje kłęb dymu. Gdy z budynku naprzeciw, wychodzi jakaś osoba, nie ważne czy go zna czy nie, on chowa zaraz papierosa i ukrywa się jak wojownik ninja przed śmiertelnym wrogiem szukającym zemsty. Gdy osoba ta przechodzi, nawet nie zerknąwszy w jego stronę, pali dalej. Osoba przysiadła na ławeczce. Messien odwraca się niepostrzeżenie, czując, że to on podgląda dilera albo koleśia, który czeka na panienkę. Zapatrzony w swego peta, nawet nie zauważył jak jakiś starszy koleś w garniturku o mało na niego nie wlaźł. Opierdolił go tylko soczyście. I dosłownie o mało się nie posrał ze strachu, gdy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Znerwicowany zignorował to, udając, że nic nie poczuł, chociaż nie było to zbyt realne. Idzie przyspieszonym krokiem kawałek, i ukradkiem zerka przez ramię w ten sposób, żeby go nikt w razie, czego nie rozpoznał. Nie widział zbyt dobrze.

Wszedł w jedną z naprawde ciemnych alejek. Skrył się w mroku i palił.

Ahmed & Abdul wyglądał jak góra. Siedział w ciemnym dużym fotelu. Był potężnym stworem jak na człowieka. Miał szpetną mordę, a raczej dwie mordy zrosnięte ze sobą ustami. Miał dwa nosy i troje oczy, w tym jedno środkowe, zrosnięte, duże i rozlazłe, z wieloma nacięciami po skalpelach. Ahmed & Abdul byli syjamskimi braćmi.

Nasłuchują przez chwilę kłótnie swoich synów za ścianą. Ale bez wyraźnego sensu. Gdy głosy zaczęły być już mulące i rozmyte, Ahmed & Abdul, ojciec dwóch synów bliźniaków, ale nie syjamskich, stanął w drzwiach i czekał na chwilę, kiedy zwróca na niego uwagę. Znaczący był duży do cholery, nie, że wyglądał jak jakiś cholerny Indianin.

Ojciec przemówił, gdy dostrzegł siedzącą na krześle kobietę.

- Chłopaki, co się dzieje, co?

- Tato, kłócimy się o kobietę, o której ci ostatnio opowiadałem. – Powiedział syn, noszący garnitur w paski. Ten drugi, miał skórzane spodnie i kurtkę.

- Wiesz, że tu jest problem, bo jesteśmy jak dwie krople wody.

- Może najprościej zrobicie, kiedy spytacie tą młodą damę, z którym z was chce być.

Dziewczyna się wyprostowała i obcięła wzrokiem najpierw jednego, potem drugiego. Aż obaj, jeden przez drugiego, zaczęli krzyczeć na nią, żeby wybrała jego.

- A więc, jak brzmi twoja odpowiedź? – Spytał ojciec przerywając kłótnie.

- Ja... Nie wiem.

- Świetnie. Jak nie wiesz, to ja tym bardziej, ale żeby moi synowie nie napastowali ciebie ani mnie już więcej, mam na to nieokiełznany sposób.

- Jaki? – Bracia A & A wyciągają pistolet. Jej skroń pulsuje, dotyka ją nadgarstkiem i wywraca białka oczu na drugą stronę. Potem drżącą ręką wcelowuje w twarz dziewczyny, i strzela jej w łeb. Sprawę uznał za rozwiązana.

Ale A & A miał jeszcze córkę, nie podobną do nikogo. Nazywała się Mea. A & A sam chciał wybrać dla niej męża. Jak na razie wszystkich jej potencjalnych chłopaków zabierał w karawanie miły pan z zakładu pogrzebowego.

Salvador Messien usiadł na ławeczce niedaleko parku gdzie panowała pora "ciemno jak w dupie." Zastanawiał się jak działa wirus i dlaczego ten zawsze cię znajdzie choćbyś myślał, jak dobrze żeś się ukrywał. Z obu stron podeszli do niego Fiodor i Bazyli.

O Fiodorze można powiedzieć tylko tyle, że chodzi w kolorowych bez gustu strojach, nosi chujową, plenerską czapkę i okulary w grubych plastikowych, żółtych oprawkach. Koszule wsadza w gacie i podciąga ją pod pachy, że aż mu jaja wychodzą nogawką. W dodatku nosi szelki, i za duże gacie w porównaniu do spodenek. Każdy się domyśla, jak wygląda efekt za małych spodenek w stosunku do za dużych bokserek. W dodatku jego ryj wygląda jak wypadkowa bombardowania w Iraku i mysiego ryja.

O Bazyliim natomiast nie można więcej powiedzieć oprócz tego, że jest małym wrednym chujem ubierającym się na czarno, chodzący nawet w lecie w burżujskim kozuchu, o którym to mówi, że go kupił w firmowym sklepie za trzy stowy, a tak naprawdę to kozuch jego dziadka. No i ma wiecznie przetłuszczone włosy. Nawet po wymyciu. To jego wada.

Wadą Fiodora jest na przykład to, że w życiu nie można poznać gorszego obrzydliwca. Raz jeden dostał na brodzie potężnego białego pryszczaka, który przez kilka dni nie chciał mu zejść z mordy. W końcu po pewnym czasie, na jego miejsce pojawił się usyfiony żółta ropą plaster. To jeszcze nic, ten syfiarz cały czas dosyć, że wydlubuje owe syfy spod paznokci, to nawet na nogach miał takie białe, wypełnione majonezem, że jakby w kogoś wystrzeliło to mogłoby komuś oko wylupać. No i oczywiście o plecach lepiej nie wspominać. Wygląda jak pole ryżowe widziane oczami helikoptera. Wszyscy podejrzewali, że jak śpi i przewraca się z boku na bok, to jak te pryszczaki strzelają mu przez nacisk na podłoże, to myśli, że gnojki za oknem petardami strzelają.

- Cześć Brudasy. – Zagaił Messien.

- O co ci chodzi? – Fuknął Bazyli – jesteśmy chyba najczystszyimi osobnikami w tym mieście,

a to za sprawą tego, że myjemy się jak koty.

- Ale wiesz, że jakbym cię wyrzucił z okna to nie byłoby morderstwo z premedytacją, ale zwykły, nieszczęśliwy wypadek?

- A tak do rzeczy, to mamy pewne nowinki, które mogą cię zainteresować.

- To zależy, czy gra jest warta świeczki i za jaką kwotę w to wejdę. – Przedrzeźniał się.

- Nie dużo. Dychę.

- Jeśli tylko dychę to nie dużo, bo jakby kwota była przyzwoita, to i info byłoby przyzwoite, a jeśli chodzi o dychę, to lepiej sobie śmieciami nie zaprzętać głowy, bo za tyle, to informacje są głównie warte.

- Wiesz, że Rimbaud był pedałem?

- To jest ta twoja genialna nowinka?

- No niezupełnie.

- To gadaj w końcu, o co chodzi.

- Znam kogoś, kto ma książkę z jego autografem. Serio. Nie kituję.

- Tak. I co ja mam z tym niby zrobić? Mam dość takich pierdół na kółku literackim.

- Przecież uwielbiasz poezję...

- Czy to znaczy, że jestem łowcą autografów? Nie kurwa. Czyjaś parafka nic nie znaczy.

Przynajmniej dla mnie. Stare antyczne wydania także nie. To słowo się liczy. No już, zjeździe mi z drogi, bo was zdieję. – Messien nie zastanawiając się odpalił kolejnego papierosa.

- Podaż jakiś przykład?

- Jaki przykład?

- No pierdół z kółka literackiego.

Messien zamilkł. Zaciągnął się kilka razy kolejnym papierosem i powiedział.

- Każą mi przestać przeklinać. To nienormalne. Mam wstawiać w mowie pisanej i mówionej w każde brzydkie słowo, jakieś inne. Na przykład "kartofelek". Jak to, kurwa, w ogóle brzmi?! Kiedy do kolesia zamiast "wypierdalaj, bo cię wjebię", powiem "kartofelek, bo cię kartofelek?". Pomyślą, że jestem "kartofelek" ... kurwa, to jest "popierdolony"!

- Nic z tego nie rozumiem.

- Nie martw się, z początku nikt nie rozumie nowoczesnej poezji. Teraz cicho. Muszę się skupić. Zaraz idę do pracy, a wpiery muszę się ogarnąć.

Dużo później. Teraz. Przed pracą. Salvador Messien stoi przed lustrem nad umywalką w swoim zagraconym małym mieszkanku. Przygląda się odbiciu. Stoi rozebrany do pasa i mówi na głos, jakby ćwiczył teatralną kwestię:

– Oż kurde! Czego mi nikt nie powiedział, że jestem taki przystojny?!

Messien uśmiecha się nieznacznie. Dotyka twarzy, brody, zaczynając się śmiać tym swoim obłąkańczym śmiechem. Zjeżdża dłonią do klatki piersiowej, i zaczyna się śmiać jak orangutan. Po chwili przestaje i mówi do siebie: Ja tak naprawdę to nie jestem taki zły. Ja tylko nienawidzę swoich rodziców, zabijam każde napotkane na swej drodze zwierzątko i podoba mi się to, co Niemcy robili z żydami w Oświęcimiu. Śmieszne to było.

Nakłada na szczoteczkę pastę i zaczyna szorować zęby. Lekko podryguje ramionami. Spluwa donośnie w lustro. Przemywa twarz i wyciera ręcznikiem, i przeciera lustro: Poza tym trzeba dać nauczkę tym wszystkim parszywcom. No i nie lubię jak się mnie wkurza.

Patrzy na znalezione brzytwę, leżącą na umywalce. Podnosi ją i ogląda. Patrzy w lustro.

- Mój uśmiech jest zbyt mały. Zbyt mało przerażający. Może by go rozszerzyć nieco?

Messien przykładła brzytwę do kącików ust i zaczyna je podcinać. Zacina się i krzyczy.

Przykładła rękę próbując zatamować krwotok. Spluwa krwią, rozmazując ją na twarzy.

- Czego mi nikt nie powiedział, że to będzie tak kurewsko boleć. Kurwa. I co ja teraz zrobię?!

Uśmiecha się. Zaczyna się śmiać pełnym głosem. Przecina swoje policzki, aż do uszu.

Jestem ohydny, gryzą mnie pchły, śmierdzą będąc niemyty, czując swój smród. Moja twarz jest jak zasuszona kupka. Wszystkie grymasy mej twarzy tworzą ją wręcz karykaturalną. I już

wiem, że nie zostanę wybrany na mistera świata, choćbym zabił bądź przekupił wszystkie szczyty tego świata. Moje ręce są jak druty. Moje ciało jest jak ciało trupa. Jednak mimo tego zamyślenia, wiem, że dostałbym na pewno rolę męczennika w obozie koncentracyjnym. A już taka rola byłaby powszechnie znana i zapamiętana, jak nie noblem okiełznana. Jestem wrednym obrzydliwcem, roześmianym masochistą, jestem świrem, obłąkańcem, żydem. Może zasłużyłem uczynkami, na tą wielką może karę, będąc potępionym w trzech wymiarach, ale tego pragną ludzie. Może nie wyglądam jak sam bóg, ani diabeł, ani sam ideał świata. Wiem, że nim nie jestem, a nie nim dziś nie zostanę. Może, gdy umyję swoje ciało, nie dostanę dziś wymiotów i choć trochę będę miał nadziei. Patrzcie na mnie oto ja, Salvador Messien, idący na spotkanie z ludźmi, których zniszczę moim obrazem, moim słowem oraz gestem. I sam Manson, Hitler, Bundy oraz Fritzl się pokłonią, a Zbawiciel będzie patrzył, na mnie z nieba i wygrażał w swym języku swe pogróżki. Lecz ja mu z miejsca fuck you pokazuje, bo mnie nigdy nie posiadzie, a sam diabeł pod pokrywą ulic naszych obserwuj, dysząc cicho, myśląc o okiełznaniu mnie przeciwko bogom. By w tym świecie, naszym ziemskim, zapanował szerzej swoim złem. Bo ja jestem jakby mrokiem, kłamcą człowieczeństwa wszem i wobec. Choć nie wszystko, co ja mówię, może być prawdziwe. Uznam się za klauna, który swym uśmiechem, nie rozśmiesza, ale męczy, straszy i przeraża. Jestem klaunem. Oto nos mam na swej twarzy, wielki i okrągły, od przyjaciół go dostałem, i nie zdejmę go już nigdy. Jednak nie jest to końcowy efekt, który ich powali.